

Pyk ... pyk ... pyk ...

Cicho i monotonnie stukala piłka o ścianę. Znudzony dziesięciolatek w wymiętolonej bejsbolówce rzucał mechatą, zieloną piłeczką o ścianę budynku. Piłka odbijała się i lądowała w zręcznych dłoniach chłopca. A ten znów miękkiem ruchem wypuszczał ją z rąk, aby za moment ponownie ją złapać. Był ciepły, słoneczny jesienny dzień. Słońce pod ostrym kątem oświetlało ulicę, nadając blasku i barw przejeżdżającym samochodom, pożółkłym i szczerwieniałym liściom na drzewach. Ostatnie muchy sennie buczały jakby wiedząc, że za dzień lub dwa nastąpi nieuchronnie zima a wraz z nią koniec naszego świata. Siedziałem rozleniwiony na ławeczce przed urzędem, ścisnąłem w dłoniach kartkę z numerem bardzo odległym od aktualnie obsługiwanego. Co miałem robić? Czekałem na swoją kolej, obserwowałem ostatnie owady, igraszki promieni słonecznych z uliścionymi gałęziami, chłopca bawiącego się piłką przy ścianie urzędu. Czekałem na swoją kolej. Odgłos piłki przeniósł mnie daleko w przeszłość. Nie pamiętam już jego twarzy, ale on tak samo bawił się piłką. To było dawno, dawno temu...

Przyszedłem do fabryki nieco zmęczony. Przez ostatnie kilka dni zaiwaniałem po kilkanaście godzin na dobę, spałem po cztery godziny a do domu wpadałem tylko po to, by zmienić skarpetki. Wczoraj udało nam się. Dorwaliśmy drani. Zabili dla pieniędzy. Całą rodzinę. To byli majątni ludzie, prowadzili własną firmę. Nie mieszała się w żadne brudne interesy. Ciężko pracowali i dawali pracę wielu innym ludziom. Bandydzi przyszedli późnym wieczorem. Gospodarz otworzył im drzwi, niczego się nie spodziewał. Wtedy padł pierwszy strzał. Kula strzaskała mu czaszkę, rozłupując ją jak rozłupuje się orzech. Następna była jego żona. Zginęła na progu swojego pokoju. Pewnie przyszła wraz z mężem zobaczyć, któż zawitał w gości. Ci mieli szczęście, bo śmierć przyszła szybko, nie zdążyli się zacząć bać, nie cierpieć. Najgorzej bandyci obeszlili się z bliźniaczkami. To były piękne dziewczyny. Musiały bardzo cierpieć i zaznać wiele upokorzenia i trwogi zanim sprawcy zrobili swoje i posłali litościwe kule, które przerwały udręki dziewczyn. Nie zdążyły zaznać miłości, nie zdążyły poznać życia. Ich ciała znaleźliśmy w jednym z pokojów na górze willi. Obie były nagie. Leżały na brzuchach ze skrępowanymi rękami i nogami. Na ciałach widoczne były krwawe pręgi po uderzeniach pasem, ślady oparzeń od papierosów, których opalki leżały nieopodal. Późniejsze badania laboratoryjne wykazały, że dziewczyny przed śmiercią były torturowane i zgwałcone. Widać było, że sprawcy działali na zimno i z wyrachowaniem. Przyszli zabić. Poświęciłem rok życia, aby ich dopaść. Węszyłem, dzień i noc. Gubiłem trop i ponownie go znajdowałem. Ta sprawa była moja obsesją. Przepytałem wszystkich krewnych, znajomych, sąsiadów i pracowników ofiar. Pracowicie ryłem w życiorysach. Sprawdzałem bazy danych. Gnębiłem informatorów. Aż znalazłem właściwy trop. To zawsze jest wielka chwila. Tuż przed akcją. Za moment wszystko się okaże. Czy cała praca nie była nieporozumieniem, czy na pewno idziemy po właściwe osoby? Zawsze jest jakiś korytarz i jakieś drzwi. Drzwi do mieszkania, ale i drzwi do rozwiązania zagadki. Co okaże się, po przekroczeniu progu? Czekaliśmy od piątej rano na klatce. O szóstej, jak zwykle ojciec jednego z bandytów wychodził z psem na spacer. A my czekaliśmy na ten moment. Wpadliśmy do mieszkania jak burza. Wiedziałem, że na drugim końcu miasta druga ekipa wchodzi po drugiego delikwenta. Czy im się uda? Tego nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo. Ale teraz miałem inny cel. Leżał całkiem zaskoczony w swoim łóżku. Obok niego kuliła się pod kołdrą ciemnowłosa dziewczyna. Kto wie, czy swoją obecnością nie uratowała mu życia? Bardzo chciałem, bardzo wtedy pragnąłem, aby wykonał jakiś gwałtowny ruch. Aby dał mi pretekst. Bo straszliwie swędział mnie wtedy palec a spust pod nim krzyczał: naciśnij mnie! Naciśnij! Mój pistolet szeptał do mnie: na co czekasz, użyj mnie! Użyj! A kule w magazynku krzyczały: ja chcę być pierwsza, ja chcę być posłańcem śmierci! Mnie wyślij pierwszą, mnie, mnie! Będę szybsza od wiatru. Tak się przekrzykiwały. Widziałem go. Kopniakiem rozwalilem drzwi od jego pokoju, szyba rozsypała się z jękiem na tysiące kawałków, niczym lustro

Królowej Śniegu. Miałem go na muszce. Obok była ta dziewczyna, krzyczała ze strachu usiłując schować się za kołdrą, jak za tarczą. On, gdy zorientował się, o co chodzi, przez ułamek sekundy wahał się. Widziałem jego oczy. Najpierw napięte, a potem pełne rezygnacji. Opuścił sobie. Pod poduszką miał schowany pistolet. Nie wiem, co wyczytał w moim spojrzeniu, ale zrezygnował z walki. Nie wyjął broni. Szkoda. Nie potrafiłem go zastrzelić bez pretekstu. Potem przesłuchania, przeszukania, konwoje. Koniec sprawy. I jak to zwykle wtedy bywa totalny ochłaj na zakończenie. Absolutny reset. Dlatego byłem tego ranka zmęczony. Zmęczony i na potwornym kacu. Twarze moich kolegów z sekcji były wymięte, oczy przekrwione. Każdy tylko siedział za swoim biurkiem i ciężko wzdychał. I każdy popijał chciwie wodę mineralną. Parłem zniechęcony w kierunku swojego biurka, niczym okręt po ciężkim sztormie prze do portu, gdy dopadł mnie mój naczelnik.

- Dobrze, że cię widzę, jak żyjesz?

- Jak widzisz na załączonym obrazku...

- To faktycznie ciężka sprawa. Słuchaj, mam tu pismo z naszych kadr

- No to idź do WC i zrób z niego właściwy użytek

- Poczekaj, gdzie się tak śpieszysz?

- Do swojego biureczka, chcę usiąść i umrzeć w spokoju...

- Właściwie to powinienem wcześniej ci o tym powiedzieć, ale nie było czasu

- No, wystękał wreszcie, o co chodzi

- Mam skierowanie dla ciebie na egzaminy.

- A ja je mam w...

- Nie! Toleruję twoje specyficzne podejście do świata, bo jesteś dobrym psem. Ale nie wolno ci po raz szósty olać egzaminów. Masz tam jechać. Zrozumiałeś?

- Dobra, nie drzyj japy, bo mnie strasznie głowa boli. Kiedy mam się tam zgłosić?

- Jutro

- Oszalałeś?

- Jutro do dwudziestej masz się zakwaterować. A po jutrze o ósmej zero zero przystępujesz do egzaminów. Powodzenia - uściśnął mi rękę i zniknął w swoim gabinecie.

Budynki koszar są wszędzie takie same. Wszędzie obowiązują te same kretyńskie rytuały. Ma to swoje dobre strony. Bo gdziekolwiek jesteś, czujesz się od razu, jak w domu. Wartownik, ze znużeniem odszukał moje nazwisko w pliku kartek, które leżały przed nim i odczytał numer bloku, do którego mam się zgłosić.

- To tam, o za tym drzewem - wykonał nieokreślony ruch ręką zataczając w powietrzu koło. Wręczył mi wymięty kartonik służący jako przepustka. Przypiąłem go sobie do kurtki. Narzuciłem zamasyżście plecak na ramię. Flaszka z zawartością stosowną do chwili, zabręczała głośno uderzając o jakiś twardy przedmiot w plecaku.

- O rzesz taka nie taka - zakląłem wystraszony, że mi się zawartość wyleje. Ciuchów i tak nie miałem dużo, bo tylko na dwa dni. W ostateczności gdyby się zalały, to i tak do końca pobytu tutaj mogłem przechodzić w tych, co miałem na sobie. Może nie były by zbyt pachnące, ale koniec końców w Wersalu nie byłem. Przestraszyłem się, że jak by nie daj Boże flaszka pękła musiałbym lecieć na miasto kupić drugą. A byłem tu pierwszy raz w życiu, kto wie, gdzie jest teraz otwarty sklep? Gorączkowo sprawdziłem zawartość plecaka, ale ku mojej uldze wszystko było w porządku. Wartownik uśmiechnął się porozumiewawczo i pożegnał mnie skinieniem głowy. Ruszyłem w mrok. Otoczył mnie znajomy zapach palonego węgla, odgłos stukotu ciężkich buciorów kompanii wracających z posiłku. Wymijały mnie maszerujące kolumny umundurowanych mężczyzn. Tak, znów byłem w domu. Jeden dom był teraz daleko, na drugim końcu Polski. Tam została żona i dzieciaki. Ale każdy gliniarz ma swoich domów kilka. Jeden to komenda, w której służy. Tam spędza dnie i czasem noce. Drugi to samochód. Trzeci to

koszary. Gdy wiele lat temu przekraczałem po raz pierwszy bramę koszar, przywitał mnie zupełnie inny, obcy i wrogi świat. Wszystko w nim było do góry nogami. Wrzask kaprali, ból katowanego na ćwiczeniach ciała. Z czasem polubiłem ich rytm. Wszystko jest uporządkowane i na swoim miejscu. Wiadomo, kto jest, kim i jaką rolę pełni. Nie trzeba martwić się o dach nad głową, żarcie, ubranie. Można skupić się na zadaniu. Jakikolwiek ono jest. Dotarłem do właściwego bloku. Miałem przydział na trzecią kompanię, a więc trzecie piętro. Wdrapałem się mozolnie po schodach. Mdłe światelko lampki palącej się przy stoliku dyżurnego leniwie odbijało się w lastrykowych płytkach, jakimi wyłożona była podłoga. Dyżurny ubrany w polowy, zielony mundurkowy drelich siedział wygodnie rozparty na obdrapanym krzeselku. Nie przeszkadzało mu, że jedna noga krzesła jest wyraźnie obluzowana. Siedział i zainteresowaniem przeglądał kolorowy magazyn pełen absolutnie nagich kobiet upozowanych niezwykle wymyślnie i interesująco. Na odgłos moich kroków podniósł głowę.

- Cześć - powitałem go uściskiem ręki.

- Jak leci? - spytałem.

- Da się wytrzymać. Bywałem na bardziej pokręconych szkółkach. Jest tu kilku walniętych w dekiel wykładowców, ale ogólnie spoko. Na przeciwko szkoły, po drugiej stronie ulicy jest knajpka "Afrodyta". Właściciel żyje ze szkoły. Słuchacze naszej szacownej "Alma Mater" często tam zaglądają. Można całkiem tanio wypić i w miarę dobrze zjeść. Można też pogibać się na parkiecie - sączyłem te cenne informacje z dużą zachłannością

- A jest z kim się gibać? - spytałem. Byłem żywotnie tym zainteresowany. No, bo jak mam się gibać wśród innych dyszących pożądaniem samców, to dziękuję, wolę nastukać się w pokoju.

- Spokojna twoja rozczochna. Po pierwsze mamy tu na miejscu dwie kompanie babeczek. Na niektórych można zawiesić oko. Naprawdę - mlasnął z rozmarzeniem.

- A po za tym do "Afrodyty" zciągają całe stada spragnionych silnych wrażeń znudzonych mężatek. I jeszcze jedno. W centrum przy rondzie jest taka knajpa, niech cię, zapomniałem jak się nazywa. A tam z kolei bawią się pielęgniarki z pobliskiej szkoły. No i nasi słuchacze, ma się rozumieć. A w ogóle, gdzie nie pójdziesz, wylądujesz w knajpce. Piwo jest tanie. Żarcie też. Da się wytrzymać.

- Dzięki stary. Ale ja tu tylko na egzamin i spadam stąd.

- Masz przed sobą dwie noce. Kto wie, co się przytrafi?

- Byle nie mendi albo jakiś inny syf - roześmieliśmy się.

- Trzymaj, tutaj masz karteczki na posiłki. Nie zgub tego, bo umrzesz z głodu. Dajesz numerek dostajesz papu. Nie masz numerka, nie masz papu.

- Kapuję - podał mi dodatkowo niezbędny. Zmyślnie urządzenie. Łyżka, nóż i widelec składane w jedną całość. Po rozłożeniu miało się regularne sztucce.

- Podpisz tutaj. Jak zgubisz niezbędny, będziesz musiał zabulić.

- Dobra.

- Twój pokój ma numer trzysta czternaście. Masz już tam komplet. Kolać dla was wydawana jest do dwudziestej trzydziści. Stołówka jest trzysta metrów stąd. Wyjdiesz z budynku, skręcasz w lewo a dalej prosto, jakby ktoś w pysk dał.

Stałem przed drzwiami oznaczonymi numerem trzysta czternaście. Właściwie tam były tylko dwie cyfry: 3 i 4. Po jedyńce w środku między nimi pozostał pusty, jaśniejszy ślad i dwie pionowe dziury. Wszedłem do środka. Trzy piętrowe prycze, oskubana, rozlazła szafa ubraniowa, stół i krzesła wokół niego stanowiły wyposażenie tego pokoju. Rzuciłem plecak na podłogę. Przywitałem się ze wszystkimi obecnymi. Dwóch siedziało przy stole, jeden krzątał się między łózkami ze szczotką w ręku. Ostatni z nich leżał na swojej pryczy, na samym dole. Miał w ręku tenisową piłeczkę i odbijał ją machinalnie o ścianę. Piłka wydawała charakterystyczny dźwięk. Obojętnie podał mi swoją rękę. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Widać było, że gość nie jest zbyt rozmowny. Pozostali byli bardziej komunikatywnymi kompanami. Wszyscy byliśmy operacyjniakami, więc szybko znaleźliśmy wspólne tematy.

- No, to za spotkanie - wyjąłem flaszkę przywiezioną na tę okazję. Bo są cztery płyny cementujące prawdziwą męską przyjaźń: wspólnie przelana krew, pot i łzy. Czwartym łączącym pozostałe elementy w jedną całość jest wódka.

- No, jak tak, to proszę - nieco otyły blondynek z zadzierzystem wąsem wyciągnął na stół zawiniątko otulone białym papierem. A wewnątrz same rarytasy. Układające się łagodnymi łukami pęta kielbasy, czerniąca się prześlicznie kaszanka w prawdziwej kiszce, wielki kawał szynki, swą czerwonosć okalającą białą otuliną tłuszczu. Pokój wypełnił nieziemski zapach. Kurde, naprawdę znowu byłem w domu.

- To wszystko swojskie, mojej roboty - z dumą wyjaśnił blondynek, napawając się naszymi minami. Zaraz też ktoś nastawił herbatę, skądś zjawił się chleb i domowe ciasto. Wesoło brzęknęły szklance napełnione przezroczystym płynem. Nie było już sensu iść na kolację. Tym bardziej, że była jakaś pasta jajeczna, jak poinformował mnie jeden ze świeżo poznanych kompanów. Wszyscy wesoło spędziliśmy czas, toczyły się rozmowy. Każdy coś tam opowiedział o sobie, jak to w takich okazjach bywa. Tylko on wciąż leżał na łóżku i odbijał piłeczkę od ściany. Wyraźnie izolował się. Flaszka szybko pokazała swoje dno. Przez ten czas zdążyłem opowiedzieć i wysłuchać wielu dykteryjek, rozpakowałem się. Koledzy pokazali mi wolne łóżko. Do szafy powiesiłem elegancki, wyjściowy mundur. Wyprasowałem elektrycznym, turystycznym żelazkiem "sdiełanym w CCCP" swoje mundurowe spodnie. One też wylądowały w szafie. Abym jutro błyszczał, niczym z żurnala wycięty. A przede mną noc, noc pełna wrażeń, noc przygód. Flaszka była już pusta, więc nic nie trzymało mnie w tym pokoju. Ruszyliśmy całą ekipą. To miasto było nasze. Tylko on jeden został sam ze swoją piłeczką. Milczący, zamknięty w sobie. Obcy. Do szkoły zwlokłem się nad ranem. Towarzysze dawno zniknęli z mego widnokręgu, wykruszali się po knajpach. Miałem nadzieję, że jak ja, szczęśliwie znajdą drogę do naszego pokoju numer trzysta czternaście. Idąc rekonstruowałem wydarzenia ostatniej nocy, które przykryła mgła niepamięci. Im bliżej rana, tym mniej pamiętałem. I skąd u licha mam ten biały sweterek. Gdzie zostawiłem kurtkę? Jeszcze jedna z nierozwikłanych zagadek natury kryminalnej. Do mego zmordowanego, straszliwie skatowanego wódą mózgu docierał silny zapach. To były perfumy. Pięknie pachniały, bzami, lawendą. Kojarzyły się z miękkością, lekkością. Kojarzyły się z kobietą. Sweterek też miał krój mocno niemęski. I wtedy przypomniałem ją sobie. Wysmukła blondynka o smutnych oczach. Podeszła do mnie, gdy szalałem na parkiecie. Byłem na dobrej fali, buzowała we mnie krew wspomagana wypitym alkoholem. Kipiała we mnie młodość. Nie istniał wokół mnie świat, wszystko sprowadzało się do rytmu muzyki i stroboskopowych świateł. Początkowo nie zwróciłem na nią uwagi. Było mi dobrze samemu ze sobą, nie potrzebowałem w tej chwili nikogo do szczęścia. Stała przede mną, zmysłowo kręcąc biodrami. Była piękna. Obcisły sweter podkreślał jej kobiece kształty. Wyraźnie mnie prowokowała. Nie reagowałem. Po prostu tańczyłem. Wtedy położyła mi ręce na ramionach, przybliżyła wargi do mojego ucha. Wszeptała mi w nie takie rzeczy, że do dziś na samo wspomnienie robi mi się gorąco. Nie pamiętam, jak długo do niej szliśmy, przez ciemność uśpionego miasta. Wiem, że po drodze w jakimś sklepie nocnym kupiłem półlitrową butelczynę. Gdy weszliśmy do mieszkania, szybko zdzieraliśmy z siebie ubranie. A potem ona mnie objęła, ja zaś tuliłem się do niej. A nas oboje litościwie okrył mrok. To była piękna noc. Obudziłem się nad ranem. W głowie mi szumiało, nie wiedziałem gdzie jestem i co tutaj robię. Ona spała naga. Kołdra zsunęła się z niej, pokazując całe jej ciało w swojej krasie. W szaleńczym biegu zbierałem swoje ciuchy z podłogi. Przypomniała mi się szkoła i czekający mnie egzamin. Co chwila się potykałem i przewracałem. Byłem na niezłej bani. Obudziła się. Spojrzała na mnie tym swoim sarnim wzrokiem.

- Idziesz już?

- Tak, muszę już iść... tylko ... nie wiem, gdzie.

- Idź, idź już sobie - powiedziała z nagłą złością - wy tylko to potraficie, odchodzić - zakryła twarz dłońmi a jej ciałem wstrząsnął szloch. Zbaraniałem. Podeszedłem bliżej, chciałem ją objąć, przytulić, jakoś pocieszyć. Odepchnęła mnie gniewnie. Zatoczyłem się bezwładnie, noga zaplatała się w luźną nogawkę od spodni. Drugą zdołałem wcześniej włożyć na właściwą nogę. A biorąc pod uwagę stan, w jakim się

znajdowałem, wcale nie było to łatwe. Machając rękami usiłowałem złapać równowagę, ale na drodze stało mi krzesło. Runąłem jak długi. Padając odruchowo chwyciłem się jedynej rzeczy, jaka wpadła mi w ręce w złudnej nadziei, że uchroni mnie to od bolesnego upadku. Ale łapanie się obrusu w takiej chwili nie było najlepszym pomysłem. Na podłodze znalazłem się ja, obrus, cukiernica, wazon z kwiatami. Wszystkie te przedmioty w raz ze mną tworzyły malowniczą mieszanicę wijącą się na podłodze. Dziewczyna patrząc na mnie znów spazmatycznie łkała. Tym razem ze śmiechu. Pomogła mi się wypłatać z obrusu, pozbierała resztki garderoby. Pomogła też mi się ubrać.

- Nie wiesz, gdzie jest moja kurtka?

- Przyszedłeś tu bez niej. Mówiłeś, że gdy patrzysz na mnie jest ci wystarczająco ciepło. Wyrzuciłeś ją z mostu do rzeki

- Wyrzuciłem kurtkę, moją kurtkę?

- Tak.

- No to ładnie.

- Aby mi udowodnić, jaki jesteś gorący chłopak chciałeś też wyrzucić koszulę. Udało mi się ciebie powstrzymać. Z trudem.

- Dzięki - Patrzyłem przez okno, na wirujące w świetle latarni płatki śniegu. Miałem nadzieję, że do szkoły jest blisko i nie zamrznę po drodze. To było małe miasteczko na szczęście.

- Jesteś ze szkółki, prawda?

- Tak. Dziś mam jakieś cholerne egzaminy.

- Jak je masz zamiar zdać?

- Nie wiem. Może zdążę przetrzeźwieć. Która godzina?

- Piąta rano. Do szkoły masz stąd coś koło czterech kilometrów. Zrobię ci coś do jedzenia. Nakarmiła mnie jakąś zupką. Dała też ten biały sweter. Powiedziała, że jak będę chciał, to jej zwrócę, a jak nie, to też dobrze. Chciałem oddać jej ten sweter. Pragnąłem jeszcze raz na nią popatrzeć. Ona dała mi radość, a ja wyszedłem na świnię. Bo nie oddałem tego sweterka. Nie potrafiłem przypomnieć sobie, który to blok, choć pół następnego dnia strawiłem na jego poszukiwaniach. Do dziś dla mnie to miasto ma twarz pięknej nieznanym. Dotarłem na kompanię parę minut przed siódmą. Wszyscy moi kompani krzżeli się przy porannej toalecie. Gdy mnie ujrzeli powitali mnie gromkim uczuciem ulgi. Krótko rekonstruowaliśmy wieczór, kto gdzie poległ. Tylko ten od piłki patrzył się na nas chłodno, z dystansem. Był już umyty i ogolony, w wyjściowym mundurze. Siedział przy stole nad kubkiem parującej herbaty, w rękę machinalnie obracał swoją tenisową piłeczkę. Jakoś przebrnąłem przez torturę egzaminu. Jedynym moim marzeniem podczas wypełniania tego cholernego totalotka była butelka zimnej, niegazowanej wody mineralnej. Niewiele pamiętam z pytań. Zazwyczaj są one układane przez sfrustrowanych wykładowców, których jedynym osiągnięciem zawodowym jest wykrycie sprawców kradzieży kur z kurnika pana Kociuby w Kogutkowie Górnym. O wykrywaniu zabójstw mają takie pojęcie, jakie wyczytali w podręcznikach napisanych przez innych swoich kolegów wykładowców lub w kryminałach. A więc raczej mętne. Mają ukryte poczucie niższości wobec normalnych gliniarzy z linii, więc udowadniają im, że są debeściakami wymyślając strasznie pokrętne pytania z zakresu prawa karnego na granicy z filozofią. Rozwiązać te zadania są w stanie tylko sami autorzy i to tylko z pomocą ściąg. Dlatego rozwiązanie tych testów jest jak gra w totalotka. Albo trafisz, albo nie. Oddałem swój test, jako jeden z pierwszych. Była to ryzykowna taktyka. Egzaminator mógł to poczytać jako lekceważenie jego kompetencji. Nie po to zastawiał finezyjne pułapki w swoich pytaniach, aby pętał jeden z drugim roztrzaskał je w try miga. Ale strasznie pragnąłem nasączyć swój organizm czystą, mineralną wodą. Dlatego wygramoliłem się z krzeselka, zapiąłem mundur, poprawiłem krawat, czapkę z figlarnie błyszczącym orzełkiem wziętem przepisowo w lewą rękę odpowiednio układając ja na zgiętym przedramieniu i nieco chwiejnie, aczkolwiek dziarsko ruszyłem do stołu egzaminatora. Z premedytacją nie dostrzegłem jakiegoś asystenta w stopniu starszego posterunkowego, który chciał odebrać ode mnie

testy. W końcu dwie krokiewki na pagonach do czegoś zobowiązują. Rozliczał się będę z oficerem, a nie z byle neptkiem i kwita. Stałem w postawie zasadniczej przed zielenią stołu egzaminatorskiego. Przepisowo stuknąłem obcasami swoich wyglansowanych półbutów. Egzaminator podniósł na mnie swe ciężkie spojrzenia z zakrzaczonych brwi. Stojąc na baczność skinąłem mu głową i położyłem testy na stole.

- Ciężko było, co sierzancie? - spytał patrząc na mnie. Do dziś nie wiem, czy chodziło mu o testy, czy przeżycia ostatniej nocy odcisnięte w mej bladej cerze, lekko chwiejnej postawie i silnym odorem męskich perfum.

- Tak jest, panie inspektorze. Ale dałem radę - wydudniłem starając się wyraźnie modulować wyrazy. Dobrze, że płątlivy język mógł zatrzymać się na zębach.

- Ach, młodzi, młodzi - pokręcił głową mrużąc filuternie oczy - odmaszerować sierzancie.

Znów energicznie skinąłem głową. Regulamin zabrania zakładania czapek w pomieszczeniach służbowych. W czapce byłoby mi łatwiej. Oddałbym honor przykładając palce do daszka i już. A tu znów musiałem energicznie skinąć głową. Musiałem nieźle uważać, by nie wyróżnić. Ale udało się. Zrobiłem przepisowe " w prawo zwrot" i krokiem marszowym zmierzałem do wyjścia z auli. Przed wyjściem dążyłem omieść wzrokiem twarz. Natrafiłem na jego spojrzenie. Siedział z tą swoją posępną, nieodgadnioną miną i obracał w palcach piłeczkę. Dziwak. Dotarłem do pokoju. Do obiadu miałem mnóstwo czasu. Z ulgą wyplatałem się z munduru i rzuciłem na wyrko. Szybko zapadłem w krzepiący sen. Krótki, zimowy dzień szybko minął. Świat znów pokrył się mrokiem. Miałem za sobą egzaminy, poszukiwania pięknej nieznajomej, obiad i kolację zjedzone w stołówce. Posiłki w tego typu placówkach zawsze są wyzwaniem. Przeżyłem i to. Siedzieliśmy rozleniwieni w pokoju. Nie chciało nam się zbytnio nigdzie łązić. Tym bardziej, że jutro czekał nas egzamin z WueFu, cokolwiek to miało oznaczać. Toczyły się ospałe rozmowy. O dziewczynach, o planach na przyszłość, o prowadzonych sprawach. Nagle dyskusja przybrała rumieńców.

- Jak to, wystawiłbyś swojego informatora na odstrzał? - zaciętrzewił się blondynek

- Nie, dlaczego tak sadzisz? Wykorzystałbym po prostu informacje uzyskane od niego

- No, ale w ten sposób narażasz go i nadużywasz jego zaufania.

- Przecież wie, co mi mówi i jakie jest ryzyko

- Panowie, o czym wy mówicie, jakie zaufanie, jakie ryzyko. Uchol to uchol i nie należy się nim przejmować

- No, co ty bredzisz. Źródło trzeba chronić...

- Źródło, źródło. Bandzior jest bandziorem. A w dodatku kapuje na swoich.

- Bo zawiera z tobą jakiś układ, prawda? Na coś obaj się godzicie.

- No i co z tego?

- No jak to co!

- No co?

Diskusja robiła się coraz bardziej gorąca. Siedziałem wraz z całą piątką przy stole. Przysłuchiwałem się w milczeniu, jak rozwija się spór. Tamten też słuchał. Leżał na swoim łóżku w tej samej pozycji i objął swoją piłeczkę o ścianę. Słuchał w natężeniu, lecz nie zabierał głosu.

- Po pierwsze narażanie informatora jest nieetyczne

- Też coś, przestań chłopie farmazony kropić! Etyczne jest zatrzymanie zabójców, aby nie zabijali, bandytów by więcej nie napadali, gwałcicieli, by więcej nie gwałcili. To jest etyczne! Mamy chronić ludzi. Druga strona nie wyznaje żadnej etyki, żadnej. My ich mamy dopaść. W dupie mam etykę!

- Masz rację. Ale spójrz na to z drugiej strony. Musimy mieć informatorów, swoich kapusiów, prawda?

- Prawda. Bez nich jesteśmy ślepi i głusi.

- No właśnie. Nieważny jest sposób zwerbowania.

- Ja kiedyś prowadziłem sprawę na grupę złodziei samochodowych. Wyczałem dziupłę. Wpadłem tam

sam. Wiedziałem, że oprócz właściciela nikogo nie będzie. Stały tam świeżo ćwiknięte, gorące jeszcze bryczki. Krótko z nim gadałem. Raz dwa podpisał mi zobowiązanie do współpracy. Nigdy do tej dziupli więcej nie wszedłem. W papierach nic o niej nie napisałem, nic. Nikt w komendzie o tej mojej akcji nie wiedział.

- Czyś ty z byka spadł? Pozyskiwanie na materiałach obciążających jest nielegalne! I mogli cię stuknąć, kretynie!

- Fakt. Ale dzięki temu, że odpuściłem sobie tego pasera przechwyciliśmy w sumie pięć sztuk broni palnej, w tym zatrzymaliśmy osoby kupujące i sprzedające broń, dwa składy amunicji, udaremniliśmy jedno zabójstwo. Mało? Ja uważam, że cena dwóch wózków jest stosunkowo niską ceną. A stuknąć cię mogą zawsze. Jak będziesz z psem na spacer wychodził. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy.

- Przestań, ten twój paser nadal robi swoje i czuje się pewnie, bo go kryjesz

- Kradnie, oczywiście, że kradnie. Z czegoś musi żyć. Ja go nie ruszam. Ale tych informacji, które mam od niego nie uzyskam przecież od pani z zieleniaka, prawda? Taka jest cena.

- To wróćmy do zagadnień zaufania i etyki. Nasza praca nie jest etyczna. Wybieramy mniejsze zło. Przymykamy czasami oczy w zamian za informacje.

- Tak, to prawda

- I aby te informacje uzyskiwać, musi być więź między nami a naszym informatorem. Musi być zaufanie. Na moment zapadła cisza, przerywana miękkim stukotem piłki zręcznie puszczanej i łapanej przez tamtego. O czym myśleliśmy? Pewnie o tym, że gliniarzowi łatwiej czasami zrozumieć się z bandziorem, niż z normalnym człowiekiem. I prędzej między nimi o zrozumienie, niż między psem a cywilem. Glina i bandzior są jak dwie strony tego samego medalu.

- Załóżmy, że twoje źródło przynosi ci informacje o poważnej transakcji narkotykowej. Nie wiem, trzy kilo heroiny

- Widziałeś ty kiedyś taką ilość na raz? Wiesz, kto ma dostęp do takich ilości prochów?

- Bossowie

- No właśnie. Takich ilości nie znajdziesz na ulicy

- Nieważne. Chodzi mi o zasadę. Dostajesz taką informację. Wiesz kto, kiedy i jak ma przekazać prochy

- Marzenie. Uzyskanie takiej informacji, to marzenie każdego z nas. Taki strzał...

- No. Od czegoś takiego można wyjść na całą grupę. Wyszłyby wtedy inne tematy r11; wózki, haracze, zabójstwa.

- Ale okazuje się, że twój informator jest jedyną osobą, która o tej transakcji wie.

- Czyli, jeśli zwijasz ekipę podczas transakcji to wiadomo, kto wystawił

- Tak. Albo musisz zatrzymać swojego informatora razem z tamtymi. Będzie miał taki sam zarzut, jak tamci. Nie wypłaczesz go z tego. Dla prokuratury nie ma znaczenia, że to twój informator. Brał udział w przestępstwie, więc idzie siedzieć

- Lub tamci po zatrzymaniu obciążą w zeznaniach informatora

- Jednym słowem, jeśli zrealizujesz sprawę, to twój informator ma wyrok. Albo czapa od koleśki, albo idzie siedzieć

- No i?

- Realizujesz sprawę?

- Nie, chyba nie. Źródło trzeba chronić.

- Ja też chyba bym sobie odpuścił. Nie chcę mieć człowieka na sumieniu.

- To co, tamci mogą sobie dalej handlować? Pomyśleliście o tych maślakach, do których trafi to gówno? Ilu z nich umrze od tego świństwa, ilu będzie poniewierać się po dworcach, ilu na głodzie będzie kraść lub sprzedawać się? Pomyśleliście? A może jednak warto poświęcić jednego kutasinę?

- A mógłbyś po tym spojrzeć w czasie golenia śmiało w lustro sobie samemu w oczy? Ktoś ci zaufał.

Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że ustał stukot piłki. Towarzyszył nam cały czas pobytu tutaj,

przyzwyczajaliśmy się do niego. On siedział na łóżku, twarz miał zwróconą w naszą stronę.

- O czym wy mówicie? O zaufaniu, etyce, przyjaźni? - wyrzucał z siebie z goryczą - nie ma zaufania, ani etyki. Jest tylko jedno wielkie szambo. Myślałem kiedyś tak jak wy. Chciałem zbawiać świat, walczyć ze złem. Bo po to tutaj jesteśmy, prawda? Miałem informatora. Pracowałem z nim ponad rok. Wystawił mi mnóstwo tematów. Wszystko, co chcecie: wózki, prochy, napady. Ja sam dzięki jego informacjom dawałem robotę dla całej mojej parszywej komendy. Chłopaki nic innego nie robili, tylko realizowali moje informacje. Dzięki mnie mój naczelnik został komendantem a stary komendant dostał zdrowego kopa w górę. Wszyscy byli szczęśliwi, ściskali mi dłoń i mówili, jesteś dobry. Brawo. Pracuj tak dalej. A ja zapieprzałem jak głupi. Aż wynikła sprawa tego mordy. Porachunki naszego lokalnego gangu. Stary szef i jego ochroniarz zginęli od strzałów. Siedzieli sobie w restauracji, napawali się pysznym obiadem, aż tu przyszedł zabójca i zastrzelił ich obu. Po czym zniknął. W restauracji było mnóstwo ludzi, a nikt nie potrafił podać jego rysopisu. W naszym mieście rozszalało się piekło. Sprawę prowadzili goście z samej komendy wojewódzkiej. Sam burmistrz był zaangażowany. Prasa jechała na nas, jak na łysak kobyłe. Że nieudolni, że nie mamy rozpoznania i takie tam pierdoły. Fachmani z wojewódzkiej pocili się w swoich krawatach i garniturach, pisali sążniste raporty i analizy i nic. A ja wiedziałem. Napisałem raport z informacji, jakie dostałem. Zabójcą był współlas bossa. Wiedział, gdzie stary będzie. Miał spore wpływy w gangu, ale nie mógł rządzić. Chciał rozwinąć szerszą współpracę z większymi, warszawskimi grupami. Stary nie chciał się na to zgodzić. Współlas wiedział, że wtedy dojdzie do jatki, bo warszawiaki zrobiliby wjazd. Oni się nie pierdział w tańcu. Zginąłby nie tylko szef, ale i współlas. Wolał załatwić to sam. Wystawiłem go na widelcu panom z wojewódzkiej. Oni zgarnęli całą śmietankę. Zawinęli współlasa, znaleźli broń, z której zginął boss. Współlas chciał się ratować, więc posypał się na maksa. Wysypał całą swoją ekipę. W sumie zatrzymano coś koło dwudziestu osób. Dostali zarzuty o udział w zorganizowanej, zbrojnej grupie przestępczej.

- O kurde, pamiętam, to było dwa lata temu w N...? Czytałem o tym. Niezła sprawa, wielki sukces. Kurde, gratuluję ci. Cieszę się, że cię poznałem

- Tak, to był wielki sukces. Gratulujesz mi, powiadasz. A wiesz, chociaż czego? Jakiś miesiąc po tych zatrzymaniach coś dziwnego zaczęło się wokół mnie dziać. Dostałem wezwanie komendy wojewódzkiej. Niczego nie podejrzewałem, pojechałem tam zupełnie spokojnie. A tam czekali już na mnie. Dwóch z wojewódzkiej, jeden z wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną Komendy Głównej, dwóch z wewnętrznego. Siedli na mnie, wzięli mnie w obróbkę...

- Ale, o co im chodziło, w czym był problem?

- Jak to, w czym. Nie mieściło im się w tych ciasnych łepetynach, że taki zwykły leszcz z komendy rejonowej roztrzaskał sprawę, z którą oni, wielcy fachmani nie potrafili sobie dać rady. Zarzucili mi, że jestem z tą grupą w układzie, bo niby skąd miałbym takie dokładne informacje? Wewnętrzni mieli analizę wszystkich moich realizacji i informacji z ostatnich dwóch lat. Siedli na mnie, poddali normalnej obróbce...

- No i co dalej? Przecież miałeś legalne informacje od informatora, prowadziłeś chyba teczkę gdzie wpinałeś raporty ze spotkań?

- Oczywiście. Wszystko jak należy. Każde spotkanie i każda informacja odpowiednio udokumentowana. Dalej notatka, jak ta informacja została wykorzystana i w jakiej sprawie. Wszystko czarno na białym. Wszystko. Ale według nich miałem za dokładne informacje. Musiałem być w układzie i już. Zażądali wydania informatora. Chcieli, abym ujawnił jego dane...

- Zrobiłeś to?

- Kazali mi go wystawić. Kazali mi umówić się z nim na spotkanie, po to, aby go mogli zawinąć.

- Zrobiłeś to?

- A co miałem zrobić? Mam żonę i małe dzieci. Powiedzieli, że jak nie pójdę na współpracę, to mnie zamkną na trzy miechy w areszcie, a potem zwolnią z policji. I będę miał normalne zarzuty za udział w

zorganizowanej grupie

- Zrobili z ciebie kapusia? Złamali cię?

- Co miałem zrobić? Wolałem wystawić swojego informatora, niż stracić rodzinę. Myślcie sobie, co chcecie. Mam to w dupie...

Odwrócił się do nas plecami i znów zaczął rzucać i łapać piłeczkę odbijając ją od ściany

Pyk ... pyk ... pyk jednostajny, cichy odgłos pokrył nasze milczenie.

Gdy ponownie spojrzełem na cyfrowy wyświetlacz stwierdziłem, że za moment pojawi się mój numer. Słońce zdążyło już przejść kawał swojej codziennej drogi, przybierając bardziej głębokie, bliższe późnemu popołudniu barwy. Małolat dawno już się zmył, samochody tak samo pędziły w sobie tylko znanych kierunkach. Jak i ludzie na ulicy, zaabsorbowani swoimi sprawami. Długo trwała ta moja podróż w czasie. Do pamiętnego egzaminu. I tak sobie pomyślałem, że różne przychodzi nam zdawać egzaminy. Ale nigdy nie wiemy, kiedy przyjdzie zdać nam prawdziwy egzamin z życia. Wstałem, aby wejść do budynku i zdążyć do okienka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

POCHURO, dodano 30.06.2008 16:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.